

OVERWATCH®

NIEDOKOŃCZONE SPRAWY



OPOWIADANIE AUTORSTWA ALYSSY WONG

NIEDOKOŃCZONE SPRAWY



OPOWIADANIE
ALYSSA WONG

ILUSTRACJE
ARNOLD TSANG

MODEL BAPTISTE'A SANITARIUSZA
NATHAN BROCK

ORYGINALNY MODEL BAPTISTE'A
HONG-CHAN LIM

PROJEKT BAPTISTE'A
BEN ZHANG

UKŁAD I PROJEKT
BENJAMIN SCANLON

TŁUMACZENIE
ADRIAN WAJER





NIEDOKOŃCZONE SPRAWY

- Weź głęboki wdech, babciu - nakazał Baptiste. Madame Thebeau, która niedawno skończyła siedemdziesiąt lat, ale umysł miała nadal ostry jak brzytwa, siedziała na kozetce lekarskiej w plastikowych laczkach. Baptiste osłuchiwał płuca pacjentki stetoskopem przyciśniętym do jej pleców. - Dobrze, wystarczy.

- Ustyszałeś coś ciekawego, młodzieńcze? - Przeciągnęła się. Kiedy na nią spojrział, mrugnęła zalotnie.

- Nic niepokojącego. Wszystko brzmi dobrze. - Baptiste zwinął stetoskop i wyciągnął rękę, aby pomóc starszej kobiecie stanąć. Dzisiaj miał dyżur w klinice i nosił biały kitel. - Wyniki badań przyjdą za tydzień, dwa. Wtedy doktor Mondésir panią wezwie. A może mam ją poprosić, żeby zadzwoniła do pani siostrzeńca?

- Mam telefon komórkowy. Niech zadzwoni bezpośrednio do mnie. - Madame Thebeau znowu się przeciągnęła, zaklekotały kolorowe bransoletki wokół jej nadgarstków. Chwyciła rękę Baptiste'a i stanęła na podłodze z linoleum. - Ty też możesz. Ale chyba nie znam twojego numeru.

Baptiste wyprowadził kobietę z gabinetu.

- Niestety niedługo wyjeżdżam, więc nie będę mógł się panią zaopiekować. Ale doktor Mondésir doskonale sobie poradzi. Będzie pani w dobrych rękach. - Podeszedł z nią do pochłoniętego obowiązkami chłopaka z rejestracji i tam ją zostawił.

W niewielkiej klinice panował zgiełk. Ciągły napływ pacjentów sprawiał, że oba gabinety były zajęte przez cały dzień. Mimo późnego popołudnia w poczekalni na plastikowych krzeselkach nadal siedziało sporo ludzi, od jaskrawożółtych ścian kliniki odbijał się głośny terkot klimatyzacji.

Doktor Mondésir wyszła z drugiego gabinetu. Stanowiła ostoję wśród panującego wokół chaosu. Jej splecione w warkocz włosy były upięte w kok. W ręce trzymała podkładkę do pisania, znad której zerknęła zza okularów na Baptiste'a.

- Jak ci poszło z madame Thebeau?

- Wydaje się zdrowa - odparł, oparłszy się o ścianę. - Ciśnienie w normie, płuca brzmią dobrze, odruchy prawidłowe. Wszystko jest w karcie.

- Prosiła cię o numer?

Baptiste westchnął.

- Ta...

Doktor Mondésir wyszczerzyła zęby w uśmiechu i włożyła podkładkę pod pachę.

- Wiedziałaś. Co jej powiedziałaś?

- Prawdę. Że jestem w mieście tylko kilka dni i że ty się nią zajmiesz.

Baptiste rozejrzał się po poczekalni. Madame Thebeau siedziała spokojnie na krześle i grała na swoim telefonie, czekając, aż odbierze ją siostrzeniec. Grupa nastolatków obok również wgapiła się w telefony. Baptiste zastanawiał się, czy wszyscy grali w to samo.

- Ach, ale ja nie jestem tak umięśniona jak ty, Jean-Baptiste - doktor Mondésir poklepała go po bicepsie. Uśmiechnęła się lekko i ruszyła do rejestracji, łopocząc połamami rozpiętego kitla. - Szkoda, że wyjeżdżasz w piątek. Od dawna nie zatrzymałeś się u nas na dłużej.

Dorastali razem w sierocińcu, tuż za Port-de-Paix. Mondésir wyszła na ludzi i skończyła szkołę medyczną, a Baptiste służył w Koalicji Karaibskiej. W dzieciństwie marzyli, aby zbudować klinikę dla ludzi z sąsiedztwa. Baptiste przeznaczył dużą część swoich oszczędności na zrealizowanie tego celu. Wciąż, kiedy tylko mógł, wysyłał pieniądze do rodzimego miasteczka.

- Wiesz, że nie mogę zostać na dłużej w jednym miejscu - przypomniat.

Przynajmniej dopóki poszukuje mnie Szpon, dodał w duchu to, o czym oboje wiedzieli. Poszedł za przyjaciółką i stanął przy regale w rejestracji. To tutaj klinika przechowywała dokumentację medyczną. Chociaż miała też cyfrowe archiwum, doktor Mondésir była staroświecka i nadal wolała wszystko drukować.

- Może ci pomogę? - zaproponował Baptiste, kiedy stanęła na palcach, by dosięgnąć do górnej półki.

- Nie schlebiaj sobie - chwyciła czerwony segregator z datą wypisaną czarnym markerem na grzbiecie.

- Pomyślałem tylko, że pomogę, skoro jestem taki umięśniony - parsknął. Zauważył jednak, że kobieta przegląda zawartość segregatora ze zmarszczonymi brwiami. - Coś nie tak?

Doktor Mondésir spojrzała na pełną poczekalnię i ściszyła głos.

- Możesz zajrzeć do szafki z lekami?

Zerknął na dokument. Był to spis zaopatrzenia. Baptiste sprawdzał szafkę z rana i nie spodobało mu się, że świeciła pustkami. Było tam tylko kilka buteleczek i opakowań ze starymi próbkami.

- Jasne. Czego potrzebujesz?

- Wszystkiego. Jak najwięcej - mruknęła pod nosem, zamykając segregator. Odłożyła go na półkę, po czym zaczęła przeglądać foldery obok. - Ale na razie muszę znać aktualny stan naszych zapasów. Gdybyś mógł...

Baptiste położył jej rękę na ramieniu.

- Roseline, co się dzieje? - zapytał cicho. - Klinice brakuje pieniędzy?

- Czas są ciężkie, ale prawdziwym problemem jest to, że Sainclair Pharmaceuticals winduje ceny.

Już wcześniej ledwo było nas stać na lekarstwa, ale teraz graniczy to z cudem - potarła zmarszczone czoło.

- To zbrodnia. Ludzie przychodzą do nas z problemami, bo biorą podrobione leki. Kto wie, co w nich jest? Ale kiedy masz wybór: cierpieć bez lekarstwa albo zaryzykować i wziąć coś, co może ci pomóc...

- To żaden wybór - dokończył Baptiste. Spojrzał na rejestrację i na pacjentów, którzy cierpliwie czekali na przyjęcie. Wiedział, jakie to straszne uczucie, gdy nie można pomóc tym, na których ci zależy. Poznał to na własnej skórze. - Mogę coś zrobić?

Doktor Mondésir uśmiechnęła się. Wyglądała na bardzo zmęczoną.

- Raczej nie. No, chyba że masz czarodziejską różdżkę. Tacy jak Vernand Sainclair nigdy się nie zmieniają. Nie obchodzi ich zdrowie własnych krajanów.

- Gdyby Overwatch wciąż istniało, wypędziłoby go z miasta – wymamrotał chłopak z rejestracji. Był jeszcze nastolatkiem i wyglądał na równie zmęczonego jak doktor Mondésir. Baptiste zaczął się zastanawiać, od jak dawna klinika boryka się z problemami.

- Jak mówiłam, potrzeba by magicznej różdżki – skrzywiła się z ironią doktor Mondésir.

Jedna z nastolatek w poczekalni, oparta o ścianę, wyprostowała się.

- Słyszałam, że Overwatch wróciło – oznajmiła. Jej znajomi podnieśli głowy znad telefonów. Tak szybko wyrosli pod nieobecność Baptiste'a. Pamiętał, że kiedy był tutaj ostatni raz, nadal uczęszczali do podstawówki i bawili się na dworze. To było cztery lata temu, tuż zanim opuścił Szpon.

Baptiste oparł się o kontuar rejestracji.

- Naprawdę? A gdzie to usłyszałaś, Esther?

Dziewczyna wzruszyła ramionami i spojrzała na swój telefon.

- Mówię o tym w Internecie, wystarczy wiedzieć, gdzie szukać.

- Nie powinnaś wierzyć we wszystko, co przeczytasz w sieci – uśmiechnął się Baptiste. Mimo to doskonale rozumiał dziewczynę. Sam marzył o dołączeniu do Overwatch, kiedy był nastolatkiem. Wierzył w bohaterów w lśniących pancerzach, których pokazywano w telewizji i na plakatach rekrutacyjnych, strażników pokoju, broniących ludzi na całym świecie.

Też kiedyś chciał być tacy jak oni. Właśnie dlatego dołączył do Koalicji Karaibskiej i został sanitariuszem. Jednak Overwatch nigdy nie dotarło na Haiti, a po rozwiązaniu organizacji Baptiste zdołał zapomnieć o marzeniach. Istniało wiele innych sposobów, żeby pomagać ludziom, choć nie wszystkie były tak łatwe, jak użyczenie swojej twarzy na plakacie.

- Esther, twoja kolej. Chodźmy do pokoju B – powiedział Baptiste. Esther wstała i otrzepała spodenki. Na pasku plecaka miała namalowany markerem symbol Overwatch. Kiedy zauważyła, że lekarz patrzy na znak, zakryła go ręką i odwróciła wzrok.



Zapadał wieczór, gdy Baptiste opuszczał klinikę. Został, dopóki nie zajęli się wszystkimi pacjentami. Przez ciebie źle wypadam – powiedziała z sarkazmem doktor Mondésir, tak jakby sama nie pracowała do zmroku. – Dobrze mieć dodatkową parę rąk do pomocy.

W takich chwilach czuł się najlepiej – kiedy pomagał ludziom z sąsiedztwa. Wracając z kliniki, zdał sobie sprawę, że stęsknił się za domem. Za dźwiękami wydawanymi przez cykady, za lepkiem i znajomym letnim powietrzem, za aromatem karaibskiego gulaszu wieprzowego griot z ulicznych stoisk. Za wszystkim. Odkąd Baptiste opuścił Haiti i Szpon, błąkał się po całym świecie i nigdy nie zatrzymywał dłużej w jednym miejscu. Ale zawsze wracał do Port-de-Paix.

Od dawna nie zatrzymałeś się u nas na dłużej.

Czasami żałował, że nie może tu zostać. Jednak było to niebezpieczne, zarówno dla niego jak i dla innych, choćby Rosaline czy madame Thebeau. Im dłużej zostawał w jednym miejscu, tym łatwiej było go znaleźć. A gdyby dopadli go agenci Szponu, nie przejmowaliby się życiem cywilów.



– Szkoda czasu, trzeba go wykorzystać – pomyślał na głos, spoglądając w gwiazdy. Niebo rozciągało się szerokim pasem nad bladymi ścianami budynków, osrebrzonych blaskiem księżyca, prawie w pełni.
– Szczególnie w tak piękną noc.

Baptiste skierował się do swojego ulubionego baru „Lefort’s”. Była to popularna miejscówka, a on od dzieciństwa znał jej właściciela, monsieur Leforta. Ten wesoły, przyjazny jegomość w upalne letnie dni częstował Baptiste’a i Roseline szklankami soku z papai. Do „Lefort’s” ludzie przychodzili głównie po to, żeby się odstresować.

Ale dzisiaj coś było nie tak. Mimo późnej godziny lokal świecił pustkami. Przy barze siedziało tylko dwóch ludzi. W oczy rzucał się od razu olbrzymi, barczysty mężczyzna pokryty tatuażami i ubrany jak turysta, w kiczowatą koszulę z tropikalnym motywem. Nosił ciemne okulary, a siwe pasemka znaczyły jego ciemną czuprynę niczym błyskawice.

– Jak to nazywacie? – zapytał Leforta, który utknął za kontuarem. Barczysty gość trzymał w ręku kolorowego, ozdobionego orchideą drinka, w dłoni wielkoluda szklanka wydawała się miniaturowa. Gdy Baptiste ostatnim razem widział te ręce, miażdżyły kark jakiemuś nieszczęślikowi. – Jest przepyszny. Serio, świetny. Nguyen, a jak twój drink?



Drugi mężczyzna w barze, szczupły, schludnie ubrany Wietnamczyk, obejrzał się przez ramię na Baptiste’a. Na kontuarze leżał kapelusz panama.

– Naczekaliśmy się – powiedział cicho chudzielec. Baptiste dobrze pamiętał jego głos z odpraw przed każdą z misji. – Oby to było tego warte, Mauga.

Wielkolud obrócił się nieśpiesznie. Kiedy zauważył Baptiste’a, uśmiechnął się szeroko.

– Hej, kolego – przywitał się. Baptiste’owi zjeżyły się włosy na karku. – Chyba nie myślałeś, że możesz się wiecznie przed nami ukrywać, co?



Cztery lata temu...

Przybyli do Monte Cristi o świcie. Desantowiec zawisł nad plażą, łopaty wirnika przecinały powietrze. Wewnątrz, z karabinem na kolanach, siedział Baptiste, ramię w ramię z resztą swojego oddziału. Kołysanie i szum maszyny był dla niego czymś równie naturalnym, co bicie własnego serca.

- Możecie lądować - odezwał się Nguyen, głos analityka w słuchawce Baptiste'a brzmiał lodowato.

- Hej, kolego. Coś taki zamysłony? - Mauga szturchnął Baptiste'a i wyszczerzył zęby. Kiedy wielkolud się pochylał, panczer aż skrzypiał. Insygnia Szponu na torsie były w oczy jaskrawą czerwienią. - Pewnie nie wypada dzielić się nimi w uprzejmym towarzystwie, ale my tu sami swoi. Co ci chodzi po tej twojej głowce?

- Więcej niż po twojej - Baptiste uśmiechnął się szeroko.

Mauga zaśmiał się tubalnie.

- Tylko się tak nie pusz. Nie wyglądam, ale zapewniam, że mam łeb na karku - rzekł, stukając się w czoło.

Mauga lubił zgrywać tępego dryblasę, ale był przebiegły i groźny. Baptiste to cenił. Poznali się na początku służby w Szponie. Wielkoluda ciężko było nie zauważyć. Mauga górował nad resztą rekrutów, gadał szybko, swobodnie i miał barwną osobowość. Przyciągał do siebie nieznajomych, jakby byli starymi kumplami.

Mauga też zwrócił uwagę na Baptiste'a i wziął go pod swoje skrzydła.

- Czuję, że mnie rozumiesz, Baptiste - powiedział mu kiedyś. - Trzymaj się mnie, a zajdziemy na szczyt.

Baptiste uznał, że to niezła propozycja. Od tamtej pory byli nierozłączni. Potem, kiedy razem brali udział w akcji, czuli, że nic ich nie powstrzyma.

- Uwaga! - kapitan Cueva, oficer dowodzący, przedefiniował wzdłuż ciasnego przejścia pomiędzy rzędami żołnierzy. - Kartel Playa narusza nasze terytorium. Mamy odszukać i wyeliminować ich bossa, Daniela Fernándezę. Wywiad zlokalizował jego kryjówkę. Wkraczamy, wyciągamy go i znikamy. Zrozumiano?

- Tak jest! - Baptiste krzyknął razem z resztą oddziału.

Gdy tak unosili się nad Monti Cristi, Baptiste poczuł niepokój, z którego nie mógł się otrząsnąć. Wszyscy inni byli w dobrym nastroju, gotowi w pełni skupić się na akcji, kiedy tylko wyłdają, ale ich śmiech wydawał mu się pusty.

Może faktycznie tylko mu się wydawało. Ostatnie misje były trudne, wymagały działań wśród ludności cywilnej. Baptiste'a bardzo to dręczyło. Dotyczyło, bo nie miał innego wyboru, ale po tych ostatnich operacjach zaczął myśleć o odejściu.

Wiedział jednak, że to niemożliwe. Szpon można było opuścić tylko w trumnie.

Desantowiec wylądował na piasku z głośnym i głuchym uderzeniem. Baptiste'em zatrzęsło w fotelu, aż chwycił mocniej za broń i odbił się od Maugi.

- Czysto - głos Nguyena zatrzeszczał w słuchawce. - Ruszajcie.

Drzwi się otworzyły, a kapitan Cueva odwrócił się w kierunku plaży. Przed nimi leżała niewielka osada rybacka pogrążona w mroku i ciszy. W oknach nie paliły się światła.

- Naprzód!

Baptiste wstał, Mauga razem z nim.

- Czymkolwiek się martwisz, przestań. Wpadamy, robimy swoje i kasujemy forszę – powiedział Mauga tak, żeby tylko Baptiste go usłyszał, po czym chwycił za parę karabinów maszynowych wielkości człowieka, jakby nie ważyły nic. Zbiorniki z chłodziwem na jego plecach połyskiwały w słabym świetle. Podniósł głos, aby usłyszał go cały desantowiec.

- Gotowi do zabawy?



- Postawię ci drinka – powiedział Mauga. Siedział z prawej strony Baptiste'a przy barze i przytłaczał go swoją wielką sylwetką. Nguyen siedział po drugiej stronie, obserwując dawnego sanitariusza zimnym, pozbawionym wyrazu spojrzeniem. - Rany, to jest takie pyszne. Też chcesz? – kontynuował wielkolud.

- Co tutaj robicie? – zapytał cicho Baptiste. Z miejsca, w którym siedział, widział wszystkie drogi ucieczki z baru: okna, tylne wyjście przez kuchnię oraz frontowe drzwi. I wszystkie były w tej sytuacji całkowicie niedostępne.

- Jak widzisz, cieszę się słońcem i oceaniczną bryzą – Mauga wskazał na swoją koszulkę. Była wyjątkowo brzydka, w papugi o ohydnych żółtych oczach. - To miejsce przypomina mi dom. Kwatera Szponu jest taka sztywna. Fajnie czasem wyrwać się z Rzymu.

- Rzadko bywasz w kwaterze – rzucił zgryźliwie Nguyen. - I nie jesteśmy tu, żeby zwiedzać czy wypoczywać.

Mauga wzruszył ramionami.

- Korzystam tylko z naszej podróży służbowej. Widzisz, z czym ja tu się użeram, Baptiste? Kupiłem mu kapelusz, ale nawet nie chce go założyć.

Nguyen z głębokim obrzydzeniem spojrzał na nakrycie głowy leżące na barze. Wietnamczyk miał zaróżowiony od słońca nos.

Mauga objął Baptiste'a wielkim ramieniem, aż sanitariusz stracił dech w piersiach.

- Tak się składa, że jesteśmy na robocie w mieście i pomyśleliśmy sobie: „Hej, przecież dawno się nie widzieliśmy z Baptiste'em! Może się z nami napije za stare czasy?”.

Gdy chodziło o Maugę i Nguyena, nie było mowy o przypadku. Baptiste przez cztery lata skutecznie unikał Szponu. Musieli się naprawdę postarać, żeby go znaleźć. Na pewno była to robota wielkoluda.

- Przejdź do rzeczy – rzucił ostro Baptiste.

Mauga sięgnął za bar po butelkę rumu i szklanki. Lefort zniknął na zapleczu – i dobrze, po co miałby się narażać?

- Co ty taki oschły? Nie widziałem cię od Monte Cristi – przeszył Baptiste'a roziskrzonym wzrokiem.

Monte Cristi. Krzyki, dym, płonące domy. Biegł, aż zaczęło go kłuć w płucach. Wiedział, że musiał uciec...

- W sumie, minęło trochę czasu. - Baptiste oparł się łokciami o bar. Serce waliło mu w piersi.

- Cztery lata. Nie pisałeś, nie dzwoniłeś. To zabolalo, kolego – Mauga uderzył się w pierś tak mocno, że byłoby sanitariusz aż się skrzywił. - Co porabiałeś przez ten czas? Łamałeś serca? Podróżowałeś po świecie? Albo nie mów. Będziemy mieć mnóstwo czasu w drodze do kwatery Szponu.

- Nigdzie się z wami nie wybieram – sprzeciwił się Baptiste.

- To nie była prośba – zauważył Nguyen. Jego głos przeszył powietrze jak sztylet.

- Jak zawsze czarujący – westchnął wielkolud. – Nasz wspólny znajomy ma na myśli, że możesz się opierać, ale wszyscy wiemy, jak to się skończy. A gdyby coś ci się stało, kto uratuje twoją klinikę? Myśl perspektywicznie, Baptiste. Wystarczy, że będziesz współpracować i pomożesz nam w robocie, a wszystko się ułoży.

Ręka Mauga ciążyła mu na ramieniu. Ważyła chyba tyle, co nieduży człowiek. Baptiste nie miał szans się wyrwać i uciec. Czuł, że traci opcje jak drzewo martwe liście. Z pewnością istniało jakieś wyjście z tej sytuacji, musiał tylko je znaleźć.

- Co to za robota? – zapytał, chcąc zyskać na czasie.

Twarz Maugi rozciągnęła się w uśmiechu, długim i przebiegłym. Baptiste znał tę minę – wielkolud myślał, że wygrał.

- Znasz Sainclair Pharmaceuticals. Zaopatrują twoją klinikę, co nie?

Klinikę i wszystkie pozostałe instytucje medyczne na Haiti, pomyślał Baptiste.

- Zaopatrywaliby, gdyby klinikę było na to stać – Nguyen podsunął jedną ze szklanek Baptiste'owi.

U każdego innego byłby to uprzejmy gest. U Wietnamczyka sprawiał wrażenie groźby. – Krótkowzroczność. Kiedy masz monopol, kontrolujesz rynek. Ale jak za bardzo wywindujesz ceny, nie będziesz miał chętnych na towar.

- Vernand Sainclair to zły człowiek, tak jak my wszyscy – Mauga wzniosł szklankę w toaście.

- Problem w tym, że się ostatnio wycwaniał i nie płaci Szponowi tego, co się należy. Kosi hajs całymi garściami, okrada i nas, i was. Więc złożymy mu wizytę i przypomnimy, komu zawdzięcza swój sukces.

Roseline powiedziała, że potrzeba by magicznej różdżki, żeby zmienić postawę Vernanda Sinclaira, a w klinice już brakowało lekarstw i zaopatrzenia. Baptiste nie był co prawda czarodziejem, ale posiadał inne umiejętności...

- Gdyby bo trochę przycisnąć... – odparł powoli.

Mauga wyszczerzył zęby.

- Wiedziałem, że się zrozumiemy. Pomyśleliśmy, że lepiej zareaguje na kogoś znajomego. Jak dobrze to rozegrasz, to na pewno załatwi twojej klinice, co tylko zechcesz.



Baptiste łyknął rumu i rozważył swoje możliwości. Nigdy nie poznał Sainclaira osobiście, ale obaj pochodzili z Port-de-Paix. Może właśnie zyskał jedyną szansę, żeby wynegocjować to, czego potrzebuje klinika. Jednak Baptiste zbyt dobrze znał Maugę i Nguyena, żeby im ufać.

Zaskoczyli go. Wiedzieli, gdzie będzie i się zaczaili. Wiedzieli też o klinice, więc nawet gdyby udało mu się uciec, Roseline i reszta znaleźliby się w niebezpieczeństwie. W walce jeden na jednego pewnie pokonałby Nguyena, ale Mauga był prawdziwą bestią. Baptiste nie dałby rady obu naraz.

Zawahał się. Czuł klucie w dołku. Wzniósł szklankę i stuknął się z Maugą.

- Nie dajecie mi wielkiego wyboru. Ale skoro tak ma być, wchodzę w to. Jaki macie plan?

- Szczegóły są w środku - Nguyen podał mu nieoznaczoną kopertę. - Nie otwieraj, dopóki nie będziesz w bezpiecznym miejscu. Po przeczytaniu spał.

Kiedy Baptiste sięgnął po kopertę, Nguyen przytrzymał ją i spojrzał mu w oczy.

- Nie zgodziłem się na twój udział, Baptiste. Powiedziałem Maudze, że potrzebujemy kogoś pewnego, ale nalegał. Nie zmarnuj mojego czasu - puścił kopertę i obrócił się w krzesło.

Baptiste schował ją w kieszeni.

- To co będzie po misji? - zapytał. *Z nami? Z tym?*

Przecież Szpon można było opuścić tylko w trumnie.

- Nie przejmuj się tym, kolego - uśmiechnął się Mauga. Baptiste wciąż czuł na ramieniu przygniatający ciężar jego ręki. Wielkolud sięgnął do kieszeni i położył na barze zwitek gotówki. Nie trzeba było nawet liczyć, żeby wiedzieć, że taka ilość pieniędzy pokryłaby drinki nie tylko za tę noc, ale nawet za tygodniową libację.

Analitik wstał i wyszedł pierwszy, w mroku rozplynął się niczym cień. Mauga zatrzymał się w drzwiach. Kolosa spowiła słaba, pomarańczowa poświata z zewnątrz. Wokół lamp na suficie brzęczały komary.

- Widzimy się jutro z samego rana - powiedział i również zniknął w ciemnościach.



Wszystko płonęło. Baptiste przebijał się wśród płomieni, wypatrując wroga. Prawie niczego nie widział. Miasteczko zamieniło się w strefę wojny, a żołnierze Szponu poruszali się w dymie niczym zjawy. Zjawy w jaskrawoczerwonych hełmach. Pożoga trawiła domy, ich dachy zawały się do środka. Ale Baptiste słyszał tylko strzały i krzyki cywili.

Na początku misja szła zgodnie z planem. Wylądowali i dostali się do bazy kartelu Playa bez większych problemów. Ale kiedy dotarli do kryjówki Fernándeza, okazało się, że go tam nie było.

Kapitan Cueva kazał im przetrząsnąć miasto, dopóki nie zlokalizują celu. Więc ruszyli. Wyważali drzwi i z wraskiem wyrzucali ludzi z domów. Znaleźli tylko przerażonych cywili. Baptiste myślał, że to oznacza koniec misji. Sfrustrowany wyszedł, żeby rozejrzeć się po okolicy.

Wtedy zjawił się statek powietrzny Szponu i zaczął ostrzeliwać miasteczko.

Monte Cristi zmieniło się w zgłiszczą. Pierwsze uderzenie zaskoczyło Baptiste'a, wepchnęło go z powrotem do budynku. Hełm miał uszkodzony, więc po prostu go wyrzucił. Kiedy wstał, zauważył, że mieszkająca tu rodzina była uwięziona pod gruzami. Z trudem udało mu się ją uwolnić. Chciał

wyprowadzić ludzi w bezpieczne miejsce, ale kiedy wyszedł na ulicę, okazało się, że zniszczeniu uległo wszystko wokół. Był tak zaskoczony, że nie zauważył, kiedy rodzina uciekała.

- Co się dzieje? - wykrzyknął do mikrofonu. - Cywile są na linii ognia!

- Macie swoje rozkazy, poruczniku Augustin - w słuchawce usłyszał głos kapitana Cuevy.

- Ale, sir...

- Te ścierwa z kartelu muszą dostać nauczkę. Jeśli nie wydadzą nam Fernándeza, poniosą konsekwencje.

Kątem oka Baptiste zauważył błysk. Jego koledzy z oddziału układali na środku ulicy stos ze zrabowanego dobytku i ubrań. W osobne skrzynie zapakowano dobra i kosztowności mieszkańców. Część żołnierzy kradła co kosztowniejsze przedmioty dla siebie. Szeregowy Doubleday grzebał wśród biżuterii, a Mazzei obsypywał go jakimś starymi monetami. Inny szeregowy, Pacanowsky, rzucił w powietrze zwitek jakichś dwóch tysięcy pesos, które niczym deszcz zaczęły opadać na resztę oddziału. Wszyscy śmiali się, jakby mieli niezły ubaw.

Wokół niósł się przenikliwy swąd spalenizny.

Nagle po prawej Baptiste zauważył ruch. Podniósł karabin i wycelował. Z kłębow dymu wynurzyła się niewielka postać.

- Stój! - krzyknął Baptiste, przebijając się przez pożogę.

Intruz zatrzymał się i dopiero wtedy Baptiste zobaczył, że to dziewczyna w porwanej sukience. W jej spojrzeniu płonęła wściekłość, a jej dłoń zaciśnięta była na kamieniu. W jej oczach dostrzegł własne odbicie - obcego żołnierza, który zniszczył jej dom.

Baptiste cofnął się i opuścił karabin. Odwrócił się, po czym puścił biegiem przez dym i zgliszcza, nie zwracając uwagi na rozbrzmiewające wokół krzyki.



Baptiste obudził się spocony, dysząc. Niespokojnie sięgnął po telefon i prawie upuścił na podłogę hotelowego pokoju. Cyfry świecące na ekranie pokazywały 4:03 nad ranem.

Pamiętał, co mu się śniło. Nadal niemal czuł dym.

Wyciągnął pudło spod łóżka i podniósł pokrywę. Wewnątrz był gładki, biały pancerz bojowy i szalik z wyszytymi insygniami sanitariusza. Położył buty, przesunął palcami po ich ciężkich metalowych okuciach. Każdy but posiadał egzozszkielet zapewniający większą mobilność. Baptiste nacisnął delikatnie jeden z mechanizmów, żeby upewnić się, czy nadal jest sprawny. Przeguby wydały miękkie syknięcie na potwierdzenie. Minęło sporo czasu, odkąd nosił ten strój, ale ciężar zbroi z łatwością spoczął na jego ramionach niczym ręka starego przyjaciela.

Baptiste szybko się spakował i zarzucił majdan na ramię. Zanim wyszedł, wyciągnął zapalniczkę. Przypalił od niej róg listu i patrzył, jak płomienie zaczynają trawić wydrukowane insygnia Szponu, zamieniając je w popiół.





OVERWATCH®

**NIEDOKOŃCZONE
SPRAWY**



Rezydencja Vernanda Sainclaira leżała na pięknej, rozległej działce. Budynek miał trzy kondygnacje, dostojnie strzelisty dach, eleganckie balkony i ozdobne wykończenia. Tynkowany na biało dom w stylu wiktoriańskim wyglądał w południowym słońcu niczym pałac z baśni.

- Wiedzieliście, że kiedyś był tu zabytkowy hotel? - odezwał się Mauga, przeglądając przewodnik. Wielkolud zajmował całą tylną kanapę samochodu, a dwa wielkie działka położył na podłodze. Jego ciężki pancerz Szponu dudnił, gdy jechali w kierunku bramy frontowej. Wielkolud nie miał już na sobie paskudnej koszulki w papugi, ale zostawił ciemne okulary. - Wcześniej należał do słynnej rodziny polityków, ale wszyscy zginęli straszną śmiercią. Dom jest na pewno nawiedzony.

- Skup się - warknął ostro Nguyen. Jak wcześniej nosił nienaganny ciemny garnitur i krawat. Obok, na miejscu pasażera siedział Baptiste w swoim białym pancerzu bojowym, z hełmem na kolanach. - Umówiłem nas na wizytę, więc Sainclair się nas spodziewa. Wchodzimy, bierzemy co trzeba i wychodzimy. Proste.

- To niespotykane widzieć cię w terenie - Baptiste spojrzał na Nguyena.

- Czasami trzeba zająć się sprawami osobiście - odpowiedział Nguyen. Zatrzymał się przed bramą i przyłożył odznakę do czujnika. Rozległ się dzwonek, a potem brama otworzyła się ze skrzypnięciem.

Gdy prowadzono ich do rezydencji, Baptiste czuł, że coś jest nie tak. Nguyen wspominał, że ochrona Vernanda składała się częściowo z ludzi Szponu, a częściowo z najemników. Jednak nigdzie nie widział żołnierzy ze swojej byłej organizacji. Nguyen szedł z przodu razem z przewodnikiem, a Baptiste i Mauga zabezpieczali tyły. Baptiste spojrzał na Mauge, który lekko skinął głową.

Przewodnik otworzył ciężkie drzwi, odsłaniając rzędy regałów z książkami. W bibliotece czekało pół tuzina uzbrojonych strażników, ale nie było śladu Vernanda Sainclaira.

Szybko jak błyskawica, Mauga stanął przed Nguyenem i uruchomił tarczę energetyczną. Baptiste osłaniał tył z podniesionym karabinem. Drzwi za nimi się zatrzęsły. Strażnicy wymierzili w nich broń, ale pierwszy strzał oddał Nguyen ze swojego pistoletu. Baptiste nie dostrzegł, kiedy go dobył. Trafiony ochroniarz nie zdążył nawet jęknąć.

Ostrzał nieprzyjaciela zabębnił w tarczę Maugi jak grad, ale ta trzymała się mocno. Baptiste zneutralizował dwóch najbliższych stojących strażników serią precyzyjnych strzałów. Odwrócił się i złapał trzeciego, zanim zdołał obieć osłonę. Nguyen zastrzelił kolejnego, a potem wycelował w ostatniego z ochroniarzy.

- Zaczekaj... zostaw go przy życiu - powstrzymał go Mauga. Nguyen przytaknął i opuścił nieco broń. Kula przeszła udo strażnika. Mężczyzna zawył i padł na ziemię. Mauga wyłączył tarczę i podszedł do rannego. Złapał go i przydusił do regału. Jedną ręką uniósł silnego mężczyznę w powietrze za kark.

- Tyle, jeśli chodzi o komitet powitalny - Baptiste opuścił broń. Serce waliło mu w piersi. Biblioteka została zniszczona. - Niech zgadnę. To nie było częścią waszego idealnego planu, co?

- Braliśmy to pod uwagę - odpowiedział beznamiętnie Nguyen i schował broń. Wyglądał na mocno poirytowanego, że coś poszło nie tak, a to bardzo ucieszyło Baptiste'a. - Liczyłem, że do tego nie dojdzie. Nasi pozostali ludzie pewnie nie żyją.

- Nie wiesz może, gdzie jest twój szef? - Mauga zagadał swobodnie do strażnika, którego przyciskał do ściany. Mężczyzna zaczął się dławić. - Oj, wybacz. Nie dosłyszałem. Mógłbyś powtórzyć? - zacisnął palce mocniej wokół szyi mężczyzny.

Sprawiato mu to przyjemność. Opadała wtedy maska przyjaznego gaduły i Baptiste dostrzegał kryjącą się pod nią twarz mordercy. Ale oba oblicza Maugi były prawdziwe, co czyniło go jeszcze groźniejszym. Tylko jeden człowiek potrafił przemówić mu do rozsądku w takich chwilach – Baptiste.

Sanitariusz podszedł do wielkoluda i oparł się ręką o ścianę.

– Zluzuj trochę. Chyba próbuje nam coś powiedzieć – celowo używał lekkiego tonu, ale nie spuszczał wzroku z Maugi. Zawsze potrafił okiełznać go cierpliwymi i ostrożnie dobranymi słowami, ale minęło wiele lat, a wielkolud wydawał się jeszcze silniejszy niż kiedyś.

Mauga wbił w Baptiste’a spojrzenie pełne wściekłości. W tym obliczu nie było nic znajomego ani bezpiecznego. Sanitariusza ogarnęło prawdziwe przerażenie. Jednak Mauga nieoczekiwanie uśmiechnął się i poluzował uścisk. Strażnik gwałtownie złapał powietrze.

– Wybacz. No dobra, przyjacielu. Gdzie jest Sainclair? Chcemy dorwać jego, nie ciebie.

– W gabinecie... na samej górze – wycharczał mężczyzna.

– Dzięki, stary – odparł wesoło Mauga i ścisnął mocniej. Puścił. Strażnik opadł bezwładnie na dywan.

– Dlaczego zawsze na górze? – wymamrotał Baptiste. Kiedy z Maugą służyli w oddziale, cały czas przeprowadzali podobne misje. Wrócił do znanych sobie wzorców, działając w oparciu o nawyki i pamięć mięśniową, zanim mógł się nad tym zastanowić. Nawet podczas przesłuchania.

– Dobra robota, Baptiste – Mauga poklepał go po ramieniu. Wyglądał na dumnego. – Zupełnie jakbyś nigdy nie odszedł.

Właśnie tego się obawiam, pomyślał Baptiste, patrząc na trupy w bibliotece. Potem spojrzał na swoją broń. Zbyt łatwo wrócił do starych nawyków. Przez tyle lat starał się ich wyzbyć, a teraz czuł, że wróciły błyskawicznie i ze zdwojoną siłą. Znów był dawnym Baptiste’em. Czy to przez Maugę, czy może przez coś w środku, czego nie potrafił w sobie zabić?

– Będziemy musieli wywalczyć sobie przejście – Nguyen wyciągnął niewielki tablet i wyświetlił holograficzne plany rezydencji. – Na szczęście droga jest prosta. Wystarczy pójść głównymi schodami.

– Nie ma innego dojścia? – zapytał Baptiste, studiując plany.

– Nie przyszedłem tutaj, żeby wspinać się po balkonach – skrzywił się Nguyen. – I tak już wiedzę o naszej obecności. Musimy działać szybko i zdecydowanie. Korzystać z wszelkich dostępnych osłon i nie podejmować głupiego ryzyka.

– Głupie ryzyko? Nigdy! – Mauga dobył swoich olbrzymich działek zawieszonych na plecach.

Baptiste przyjrzał się uważnie planom budynku, szukając śladów wskazujących na jakieś tajne przejście, ukryte drzwi... Niczego nie znalazł, ale to nie znaczyło, że coś takiego nie istniało.

Ludzie tacy jak Vernand Sainclair zawsze zostawiali sobie drogę ucieczki.

– Co jest, Baptiste? – Mauga spojrzał na niego uważnie. – Wypatrzyłeś coś?

– Nic ciekawego – Baptiste oderwał wzrok od planów i wzruszył ramionami. – Ruszajmy, zanim zjawią się posiłki.

– Doskonale. – Nguyen bez wahania ruszył, przechodząc nad ciałami leżącymi na dywanie.



Przebijali się po głównych schodach, obok dekorowanych kolumn i importowanych kamiennych posągów. Kule rozdzierały ozdobne balustrady. Tarcza Maugi chroniła ich, kiedy posuwali się ostrożnie przed siebie. Baptiste i Mauga szli razem, z wyćwiczoną łatwością, typową dla żołnierzy doświadczonych we wspólnej walce. Minęło wiele lat, ale szybko wrócili do dawnych przyzwyczajeń. Przychodziło im to tak naturalnie jak oddychanie.

– Stęskniłem się za tym, wiesz? – Mauga przekrzyknął huk strzałów. Cieszył się każdą chwilą tego starcia, upojony przyływem adrenaliny. Baptiste też czuł, jak krąży mu w żyłach. – Tyle lat się ukrywałeś. Nie mów, że ty też za tym nie tęskniłeś.

Czy tak było naprawdę? Bardziej niż sam chciał się do tego przyznać. Tyle lat uciekał, a teraz czuł się tak dobrze, bo znowu był częścią czegoś większego. Nie samego Szponu, ale drużyny, na której mógł polegać. To samo odnalazł, kiedy dołączył do Koalicji Karaibskiej, a potem w oddziale z Maugą. Kiedy mógł zajmować się ludźmi wokół, czuł się skupiony, spełniony.

Ale w Szponie było inaczej. Kazano mu zaprzedać duszę. Ostatecznie nie opuścił organizacji bez powodu i nie mógł o tym zapomnieć.

– Uwaga na tyły – krzyknął, likwidując najemnika, który już miał strzelić do Maugi.

– To twoje zadanie! – zaśmiał się wielkolud. Jego działka pręty do tłoczących się przy schodach strażników, którzy chowali się za zasłonami. Był w swoim żywiole, dziki i nieokietznany. Jak na każdej misji – huragan, nie człowiek.

Gdy mnie oślaniasz, nie ma dla nas niemożliwego, powiedział kiedyś Baptiste'owi. Jesteś najlepszym sanitariuszem w Szponie. Ty trzymasz mnie przy życiu, a ja cię bronię. Nikt nie ma z nami szans.

Gabinet Sainclaira znajdował się na końcu długiego korytarza na drugim piętrze. Twarze z dużych portretów tępały złowrogo na intruzów. Tapeta była strasznie szpetna.

Baptiste wysunął się cicho do przodu i kiwnął głową na Maugę. Nguyen trzymał się blisko przeciwległej ściany. Wielkolud uśmiechnął się i ramieniem wyważył drzwi.

Biuro było równie bogato wyposażone jak reszta domu, z ogromnym witrażowym oknem pod sufitem, które rzucało kolorowe kształty na dywan. Vernand Sainclair stał za biurkiem, z rewolwerem w drżącej dłoni. Był przystojnym mężczyzną, co podkreślał ciemny burgundowy garnitur i złota biżuteria, jednak ogólne wrażenie psuła pot ściekająca po twarzy.

– Wiem, dlaczego tu jesteście – powiedział Sainclair spokojnym tonem. – I wiem, jak to wygląda. Ale przysięgam, jestem lojalny Szponowi.

– No to mnie przekonałeś – rzucił z przekąsem Mauga, po czym uniósł jedno ze swych ogromnych działek i aktywował osłonę. Uśmiechnął się groźnie.

Sainclair pociągnął dwa razy za spust. Kule odbiły się od tarczy i roztrzaskały szyby wielkich drzwi wychodzących na ogród.

Baptiste spojrzał na zniszczone drzwi balkonowe, a potem na Sainclaira.

– Zły pomysł – pokręcił głową z dezaprobatą.

Nguyen ruszył naprzód, Mauga oślaniał go tarczą.

- Zwabiłeś nas w pułapkę. Zamordowałeś ludzi, których wysłaliśmy dla twojej ochrony - warknął Nguyen.
Wyrwał Sainclairowi broń z ręki i rzucił na biurko. - Nawet umówiłem spotkanie, a ty dalej sprawiasz kłopoty.
Podaj mi jeden powód, czemu nie miałbym wpakować ci kuli w łeb.

- Mam informacje, których potrzebujecie! - szybko wyrzucił z siebie Sainclair. - Nie zabijajcie mnie. Wezmę tylko ten tablet i pokażę wam, co w nim jest - sięgnął powoli do urządzenia leżącego na biurku.

Baptiste cały czas mierzył do Sainclaira z broni, śledząc jego każdy ruch. Zdrajca rzucił spojrzeń na rewolwer, ale nie próbował po niego sięgnąć. Zamiast tego uruchomił tablet i otworzył jeden z plików. Wyświetlił się złoty hologram obracającej się powoli Ziemi. Potem na całym globie rozbłysły jasne punkty, z których zaczęły wyświetlać się portrety.

To nie portrety, zauważył w końcu Baptiste. To akta.

Nagle usłyszał głos, którego nie rozpoznał.

- Agenci, Overwatch wzywa. Świat potrzebuje bohaterów - nie możemy odmówić. Jesteście ze mną?
- Odebrałem tę wiadomość trzy dni temu - wyjaśnił Sainclair. Hologram oświetlał jego twarz na złoto.
- To wezwanie wysłane do wszystkich byłych agentów Overwatch. Ktoś próbuje reaktywować organizację.
- Byłeś w Overwatch? - zapytał zdumiony Baptiste. Nigdy wcześniej nie spotkał nikogo z tej organizacji.
Romantyczne marzenia, które miał jako nastolatek, plakat rekrutacyjny, który powiesił nad łóżkiem w sierocińcu, skryta nadzieja, że któregoś dnia Overwatch się zjawi i wszystko naprawi... A teraz stał przed nim jeden z bohaterów z dzieciństwa, człowiek gotów żerować na ojczyźnie i zdradzić swoich towarzyszy, byle ratować własne życie.

- Nigdy nie działałem w terenie. Byłem operatorem, tak jak on - Sainclair skinieniem głowy wskazał Nguyena. - Overwatch mnie nie doceniało. Organizacja od początku nie była idealna, a im dłużej do niej należałem, tym bardziej zacząłem zauważać, że gnije od środka.

- Więc uznałeś, że jej w tym pomożesz? - zrugął go Baptiste. Żadna organizacja nie była doskonała, sam doskonale to wiedział, ale Overwatch symbolizowało coś lepszego: potencjał świata w przyszłości, a nie teraźniejsze zagrożenia.

- Nie będzie mnie oceniał agent Szponu - skwitował Sainclair z pogardą. - Przynajmniej wy dostrzeżliście moją wartość. Zanim ONZ rozwiązało Overwatch, przekazałem Szponowi dość informacji, żebyście mieli zajęcie na wiele lat, i zostałem hojnie wynagrodzony za swój trud.

Mauga spojrział porozumiewawczo na Baptiste'a. Wszyscy dołączyli do Szponu dla chęci zysku lub dlatego, że nie mieli się, gdzie podziać.

Lecz z Sainclairem było inaczej. Miał wybór. Postanowił przyglądać się, jak Overwatch upada, a jeszcze na dodatek sam przyłożył do tego rękę. Sainclair wskazał na bogato urządzone gabinet.

- Współpraca ze Szponem dała mi to, czego nigdy nie osiągnąłbym w Overwatch. A teraz mam wam do zaoferowania cenne informacje.

Nguyen wyciągnął rękę i zakreślił holograficznym obrazem kuli ziemskiej. W powietrzu zamigotały nazwiska i ważne informacje o agentach Overwatch.

- Jest jeden problem - odezwał się Nguyen, obserwując przemykające mu przed oczami zdjęcia agentów. - Zakładasz, że nie mamy dostępu do tych danych i że jesteś jedynym z Overwatch na naszych usługach.

Sainclair pobałdł.

- Na świecie nie ma już dobrych ludzi - westchnął Mauga, dobywając drugiej broni. - Nie mówiłem tak, Baptiste?

Owszem, wielkolud już kiedyś to powiedział. Ale może tym razem miał trochę racji.

Sainclair cofnął się i wpadł na krzesło. Mauga spojrzał na Baptiste'a z przebiegłym uśmiechem.

- Dobra, to kto chce czynić honory? Może ty, kolego? Pokaż Nguyenowi, że się nie myliłem co do ciebie.

Nguyen uniósł brew. Obserwował Baptiste'a, jak wszyscy w pokoju. Czekali, co zrobi.

Baptiste zbliżył się do Sainclaire.

- Wiem, na co zasługujesz - powiedział cicho i podniósł karabin. Prerażona twarz zdrajcy pojawiła się w celowniku. Jego błaganie trafiły w próżnię.

Jeden strzał i tyle zła zostałoby naprawione. Sainclair wyrządził tak wiele szkód i odmówił pomocy tak wielu ludziom w potrzebie. To on był powodem, dla którego klinika miała problemy z zaopatrzeniem w leki, a okoliczni mieszkańcy nie mogli liczyć na odpowiednią pomoc lekarską. Ale czy wpakowanie kuli w głowę Sainclaire'a coś zmieni? Baptiste nigdy nie był w stanie zabić człowieka z zimną krwią, nawet wtedy, gdy należał do Szponu. Gdyby zrobił to teraz, oznaczałoby to coś więcej niż tylko powrót do życia, które postanowił porzucić. Oznaczałoby bezpowrotne zatracenie.

A tego do tego nie zamierzał dopuścić.

Baptiste zacisnął dłoń na granacie błyskowym przy pasie. Wietnamczyk otworzył szeroko oczy, kiedy pojął, co się zaraz stanie. Baptiste rzucił granat na ziemię. Pokój wypełnił oślepiający rozbłysk, a chwilę potem rozległ się głuchy dźwięk eksplozji, który stłumił wściekłe słowa Nguyen'a i Maugi.

Baptiste chwycił tablet z biurka i schował do kurtki, po czym złapał Sainclaire'a w pasie, ignorując jego krzyki.

- Trzymaj się mocno!

Aktywował swoje egzobuty. Przeguby kliknęły i obaj wyskoczyli w górę, prosto ku witrażowemu oknu. Baptiste podniósł rękę, aby osłonić twarz.

Usłyszał strzał i poczuł dotkliwe ukłucie w lewym ramieniu. Prawie puścił Sainclaire'a. Nie musiał patrzeć, żeby wiedzieć, kto oddał strzał - miał szczęście, że przeżył. Baptiste i Sainclair przebili się przez podsufitowe okno i wylądowali na dachu. Potoczyli się wśród popękanego, kolorowego szkła. Stąd widać było gęsty rząd drzew za posiadłością, gdzie mogli znaleźć schronienie i chwilę wytchnienia.

Teraz nie było czasu, by złapać oddech. Baptiste chwycił mocniej Sainclaire'a i skoczył w kierunku linii drzew. Zaraz potem dach rozdarła seria pocisków. Sanitariusz wylądował, łamiąc gałęzie. Sainclair zaczął coś krzyczeć, ale Baptiste zamknął mu usta dłonią.

- Ani słowa - szepnął. Sainclair przytaknął z szeroko otwartymi oczami, a Baptiste spojrzał za siebie.

Mauga stał w oknie i skanował korony drzew. Wszystkie szyby zostały roztrzaskane przez pociski z jego olbrzymich działek.

- Baptiste - zawołał wielkolud. - Kolego, chcę tylko pogadać.

Przez chwilę patrzył na gęste listowie, które zasłaniało pole widzenia. Baptiste aż wstrzymał oddech. Była to najdłuższa chwila w jego życiu.

Nguyen podszedł do Maugi i krzyknął coś niezrozumiale. Wyglądał na wściekłego, wzburzonego. Obaj mężczyźni spojrzeli po sobie, wreszcie jednak Wietnamczyk schował broń i odszedł.

- Tylko pogarszasz swoją sytuację - rzucił Mauga, jego doniosły głos niósł się przez okno. Wreszcie odwrócił się i też zniknął. Wtedy dopiero Baptiste wyszedł zza drzewa. Sainclair był tuż za nim.



Cztery lata temu...

Baptiste'a aż kłuło w płucach od dymu. Przykucnął obok łodzi rybackiej i odwiązał linę cumowniczą. Na przystani panowała cisza, ale w oddali połyskiwała pomarańczowa poświata pożogi, odbijająca się na wodzie.

- Nie mów, że już zmykasz - odezwał się znajomy głos. Baptiste zamarł. - Impreza dopiero się rozkręca.

Mauga stał na drugim końcu przystani ze ściągniętym hełmem. Pancerz miał okopcony i pełen śladów po kulach, ale usmaloną twarz rozciągał szeroki, biały uśmiech. Wielkolud celował ze swoich działek w sanitariusza, a w tle płonęło Monte Cristi.

- Nie wrócę tam - Baptiste wstał powoli i ostrożnie. - Cueva mówił, że nie będzie ofiar wśród cywili.

- A ty naiwnie mu uwierzyłeś? - Mauga pokręcił głową. - Otwórz oczy, Baptiste. Tym właśnie się zajmujemy - rzekł, przerzucając broń na plecy. - Pamiętasz Makati? Albo Singapur? Czy może zapomniawszy, jak tam poszło, bo tak było ci wygodniej?

- Cueva mówił, że te misje przebiegły bez problemów - powiedział słabym głosem Baptiste. Nawet wtedy wiedział, jaka jest prawda, ale nie chciał wierzyć. Po spojrzeniu Maugi widać było, że też wiedział.

- Oczywiście, że tak powiedział, i oczywiście tak nie było. Ale kogo to obchodzi? Za głęboko w tym siedzimy, Baptiste - na chwilę Mauga przestał zgrywać chojraka. Byli tylko oni dwaj, stali nad wodą bez żadnej widowni. Zapadła cisza. W końcu się odezwał. - Nie ma dobrych ludzi. Ani ty, ani ja nie jesteśmy dobrzy. Możemy tylko udawać i dobrze się przy tym bawić...

Ale Baptiste nie potrafił. Ani zabijania, ani grabieży nigdy nie traktował lekko. Czuł odpychającą grozę, nieważne, jak wiele razy brał w tym udział.

Mauga podszedł bliżej. Baptiste dobył broni i wycelował w wielkoluda, a ten się zatrzymał.

- Nie wrócę tam – powtórzył. – Najpierw będziesz musiał mnie zabić.

Znowu zapadła między nimi cisza. Słychać było tylko szum fal i dobiegający z dala trzask płomieni.

Baptiste usłyszał głos w słuchawce. Mauga też odbierał wiadomość, bo przechylił głowę.

- Poruczniku Augustin, odbiór – krzyknął kapitan Cueva. – Mauga, znaleźliście go?

Baptiste'owi serce mocniej zabiło w piersi. Nawet gdyby strzelił pierwszy – a nie chciał zabijać Maugi – nie pokonałby reszty oddziału. Jeśli wielkolud go wyda, już po nim.

Wielkolud popatrzył Baptiste'owi w oczy. W końcu sięgnął do nadajnika.

- Nigdzie nie ma po nim śladu, kapitanie – wycedził. – Wracam do was. Odbiór.

- Przyjąłem. Bez odbioru – potwierdził Cueva. Na łączach zapadła cisza.

Mauga opuścił działka.

- Wiem, że mnie nie zastrzelisz, Baptiste – stwierdził łagodnie. – Możesz opuścić broń.

Baptiste nie opuścił broni.

- Dlaczego to zrobisz? – zapytał.

- Lubię cię – Mauga wzruszył ramionami. – Masz w sobie coś wyjątkowego. I nie zamierzałem taszczyć twojego ciała, bo straszny z ciebie kłoc – przeciągnął się. – A teraz spływaj. Tylko pamiętaj, że jesteś moim dłużnikiem. Daj znać, jak będziesz gotowy wrócić do domu.

Baptiste cofnął się, nie spuszczając oka z Maugi. Ale kolos nie kłamał i nie próbował go zatrzymać.

- Dzięki – powiedział cicho sanitariusz. Nie wiedział, czy wielkolud usłyszał, ale nie zamierzał zostawać dłużej, by się przekonać. Uruchomił silnik łodzi i odbił od przystani, zostawiając Maugę samego przy brzegu.



Baptiste łatwo zgubił pogór, zanim skierował się na nabrzeże. Ochrona Sainclaira nie znała miasta tak dobrze. Podobnie Mauga i Nguyen. Całe szczęście, że Sainclair przestał się opierać, kiedy zrozumiał, że z Baptiste'em ma największą szansę wyjść z tego żywy.

Baptiste zakradł się do magazynu, Sainclair tuż za nim. Zranione strzałem Nguyena ramię bolało jak diabli. Sanitariusz wykorzystał swój szalik, aby wykonać prowizoryczny opatrunek. Minął skrzynie z kawą i mango, aż dotarł do niebieskiej beczki na tyłach. Zdjął wieko i zabrał torbę, którą schował tam wcześniej rano, kilka godzin przed spotkaniem z Maugą i Nguyenem.

Kazał Sainclairowi ukryć za kilkoma dużymi kontenerami i zostawił mu butelkę wody.

- Zrobimy tak... - Baptiste oparł nogę na pobliskiej skrzyni. - Za kilka godzin, kiedy to wszystko się skończy, wyślę kogoś po ciebie. Pomoże ci uciec z miasta. W zamian za to zaopatrzysz każdą klinikę w kraju w to, czego potrzebuje. Za darmo. Umowa stoi?

Sainclair był błądy. Chyba nie docierało do niego nic, co mówił Baptiste.

Nagłe otarcie się o śmierć tak działa na człowieka, pomyślał ponuro sanitariusz.

Pstryknął Sainclairowi palcami przed twarzą.

- Hej, jesteś tu jeszcze?

Sainclair podskoczył. W końcu odzyskał głos.

- Co zechcesz. Tylko zabierz mnie stąd. Chcę żyć.

Baptiste wzruszył ramionami.

- To już zależy od ciebie. Wierzę, że dotrzymujesz słowa, ale jeśli nie wywiążesz się z umowy, dam Szponowi znać, gdzie można cię znaleźć.

Odwrócił się, żeby odejść, lecz zatrzymał się, słysząc pytanie Sainclaira.

- Dlaczego mnie nie zabijeś?

- Nie jesteś tego wart - odparł i bezszelestnie wyszedł się magazynu.

Zacumowane przy nabrzeżu komercyjne kutry rybackie kołysały się lekko na falach. Skrzynie z ładunkiem były ułożone w stosy w pobliżu i czekały na przeniesienie do ładowni. Baptiste ruszył ku prywatnym statkom i wybrał jeden z tych, które znajdowały się na samym końcu pomostu przy stacji ładowania. Kadłuby łodzi unosiły tuż nad taflą wody, emitując niski szum.

- Mam déjà vu - ustyszał za plecami. Mauga szedł wzdłuż przystani, słońce odbijało się od jego pancerza. Trzymał swoje działka jakby nic nie ważyły. W jego głosie słychać było agresję i znaną Baptiste'owi pobitewną gorączkę. - Już raz cię puściłem, Baptiste. Wiesz, że nie mogę tego znowu zrobić.

Baptiste popatrzył na niego. Sam był pełen energii i czujny.

- Gdzie jest Nguyen?

Mauga wzruszył ramionami.

- Kto to wie? Pewnie w posiadłości, sprzęta bajzel, który zostawiliśmy, zawiedziony wszystkim i wszystkimi wokół, jak zawsze. Mówiłem mu, że jak będzie się tak krzywił, to mu to zostanie - podniósł broń, a Baptiste skoczył za jeden z kontenerów. Pociski uderzyły w beton i rozbiły w drzazgi pobliskie skrzynie. Mango wysypały się na ulicę. Sok pryskał na wszystkie strony, trafiając sanitariusza.

Chwycił mocniej karabin. Mauga nie żartował.

- Myślałem, że chcesz mnie z powrotem w Szponie żywego - krzyknął Baptiste.

- Chcę - przyznał Mauga. W jego głosie znów było słychać ogień i tę samą obietnicę przemocy. - Ale chyba trzeba cię do tego przekonać. Jeszcze nie jest za późno podjąć właściwą decyzję.

- Nigdy nie sądziłem, że to powiesz - prychnął Baptiste. Zaryzykował i wyjrzał zza kontenera. Spadł na niego kolejny grad kul. Serce zaczęło mu walić w piersi, gdy policzył, ile amunicji mu zostało. Raczej mniej niż Maudze.

- Przy okazji, słyszałem, co stało się z kapitanem Cuevą i chłopakami. Wielka szkoda - krzyknął wielkolud. Jego kroki było słychać coraz bliżej, dudniły na pomoście.

Jego dawni towarzysze z oddziału popełnili błąd i szukali go w pojedynkę. Baptiste zostawił sobie Cuewę na sam koniec.

- Naprawdę? - wydyszał, przyciśnięty plecami do kontenera.

Ustyszał głośne metalowe kliknięcie. Mauga przeładowywał broń.

- Nie, nigdy go nie lubiłem.

Baptiste zaklął, gdy w pobliżu kule uderzyły w beton. Wszędzie wokół toczyły się łuski. Nie dałby rady dobiec stąd do łodzi, a czasu było coraz mniej. Ludzie Sainclaira niedługo tu dotrą.

Poprawił torbę przewieszoną przez ramię i wtedy wyczuł okrągły, płaski przedmiot. Chwila. Sięgnął do środka i wyjął urządzenie w kształcie dysku. Pracował nad nim przez ostatnie miesiące. Był to tylko prototyp, ale może zadziała...

- Nie strzelaj! - krzyknął Baptiste. - Wychodzę!

Wstrzymał oddech i wyciągnął rękę za kontener. Nie nastąpił żaden strzał, więc powoli się wychylił.

Mauga w ciemnych okularach stał kilka metrów dalej i czekał. Nadal celował prosto w Baptiste'a.

Oceaniczna bryza rozwiewała mu włosy i szczyrzył się w tym swoim szerokim uśmiechu.

- Wreszcie zmadrzałeś, kolego?

- Nie do końca - odpowiedział Baptiste i wyrzucił dysk w powietrze, po czym dobył broni zza kontenera i wpakował cały magazynek w stację ładowania obok Maugi.

Eksplozja wstrząsnęła okolicą. Środek przystani wyleciał w powietrze, a kawałki betonu runęły do zatoki. Niektóre spadły na pokłady pobliskich łodzi i wyrzuciły je do góry dnem. Mewy wzbiły się w niebo, skrzecząc głośno.

Kiedy dym się przerzedził, po Maudze nie było śladu. Baptiste leżał na drugim końcu przystani, poobijany, ale żywy. Prototypowe urządzenie unosiło się z szumem w powietrzu i generowało wokół sanitariusza pole ochronne. Tylko ono go ocaliło.

- Dobrze wiedzieć, że jednak działa - powiedział świszczącym głosem i przycisnął guzik. Urządzenie wyłączyło się, a pole energii zniknęło. Baptiste schował dysk i, kuśtykając, skierował się na koniec pomostu, ku jednemu z pozostałych statków, luksusowemu jachtowi z wyraźnym napisem „Sainclair”, wymalowanym na rufie.

Przecinanie liny cumowniczej i wyrwanie kabla ładowania było proste. Pozostało mu tylko zrobić spięcie w zapłonie. Gdy Baptiste chwycił za ster, spojrzał przez ramię. Nabrzeże było puste, ani śladu Maugi czy najemników.

- No i po wakacjach - wymamrotał.

Jacht odbił od przystani i wypłynął w morze, sterowany pewną ręką.



Dopiero po godzinie od wypłynięcia z Port-de-Paix Baptiste wreszcie się odprężył. Silnik jachtu mruczał, gdy kadłub przecinał wodę. Wokół rozciągał się niekończący się przestwór błękitnego oceanu. Morska bryza pachniała wolnością.

Baptiste zdjął pancerz bojowy i wyciągnął z torby apteczkę. Czuł się kiepsko, ale żył.

- Ma się jeszcze ten dryg - powiedział do siebie, szukając szwów. - Tak jak wtedy, w Makati.

Gdy przetrząsał lodówkę w mesie jachtu „Sainclair”, usłyszał brzęczenie telefonu. Zaskoczony, sprawdził i zorientował się, że ma zasięg, chociaż znajdował się na pełnym morzu. Usiadł z aparatem w rękę, próbując wymyślić, co powie Roseline, która wkrótce dowie się, co stało się z Sainclairem - o ile już nie wie. Baptiste chciałby tak wiele jej powiedzieć, ale naraziłby ją wtedy na niebezpieczeństwo. Szpon na pewno monitorował jej korespondencję w nadziei, że uda im się namierzyć deztertera. Baptiste nie mógł ujawnić, kiedy wraca do domu ani dokąd zmierza.

Wreszcie jednak zdecydował się wysłać zaszyfrowaną wiadomość.

Cześć, Ros. Zostawiłem Sainclaira w magazynie w porcie. Obiecał darmowe dostawy dla kliniki w zamian za bilet lotniczy z miasta. Wyślij kogoś, żeby dokonał wymiany. Jeśli będzie robił problemy, przypomnij mu, jaka była umowa.

Baptiste zawahał się, a potem wysłał kolejną wiadomość.

Uważaj na siebie, dobra?

Szpon nie powinien się interesować ani nią, ani mieszkańcami Port-de-Paix. Baptiste przegnał powracające wspomnienia płonącego Monte Cristi. Nie, raczej będą obserwować klinikę i czekać, w nadziei, że sanitariusz wróci. Minie dużo czasu, zanim powrót będzie bezpieczny.

Pomyślał o Maudzie i eksplozji na przystani. Po wielkoludzie nie było śladu, ale znając go, pewnie przetrwał. Wbrew rozsądkowi Baptiste szczerze mu tego życzył.

Włączył tablet Sainclaira. Pojawił się holograficzny obraz Ziemi, a na nim profile agentów Overwatch. Ich prawdziwe imiona, kryptonimy, najważniejsze informacje. Gdzieś nad bliskim wschodem zauważył znajomą twarz – blondynkę, którą spotkał na misji humanitarnej w Wenezueli. Pracowali razem ponad tydzień, potem musiał ruszać dalej. Było coś takiego w jej spokoju, opanowaniu i pewności siebie, co przypominało mu Roseline. Kartoteka Overwatch zawierała następujące dane: ŁASKA. *Identyfikator agenta: 3945_46.*
Prawdziwe personalia: Dr Angela Ziegler. Status: Nieaktywna.

Baptiste pamiętał też Łaskę z plakatów rekrutacyjnych. Ale tamta agentka Overwatch, która unosiła się nad polem bitwy na złotych skrzydłach, bardzo różniła się od doktor Ziegler, która troskliwie opatrywała rannych w szpitalu polowym. Skoro kiedyś należała do Overwatch, to na pewno również otrzymała wezwanie.

Baptiste stuknął świecącą czerwoną kropkę przy ostatniej znanej pozycji na mapie. Sądził, że Overwatch jest skończone, ale może się mylił. Jeśli Szpon szukał też doktor Ziegler, to miała prawo o tym wiedzieć. Baptiste musiał ją odnaleźć, ale na szczęście wiedział, kogo pytać.

Otworzył zaszyfrowaną aplikację na swoim telefonie, wpisał hasło i kliknął przycisk słuchawki na dole ekranu. Wystarczyły dwa sygnały i w głośniku usłyszał znajomy głos:

- Hola, *mija*. Kopę lat.

- Hej, Sombra - odpowiedział, spoglądając na profil doktor Ziegler. - Możesz coś dla mnie zrobić?

+
KONIEC







BILZZARD[®]
ENTERTAINMENT